

URSZULA NATALI

Urszula Natali, ur. 26 listopada 1923 r. we Lwowie, c. Leona i Barbary Wajdycz, uczennica.

Ojciec mój był st. przodownikiem służby śledczej Policji Państwowej we Lwowie.

Po wkroczeniu armii sowieckiej do Lwowa ojciec został aresztowany i 22 stycznia 1940 r. wywieziony do Władywostoku. Stamtąd otrzymaliśmy jeden list. Następnie wywieźli [go] do kopalni złota (nazwy nie pamiętam), tam w listopadzie 1940 r. ojciec zmarł.

Ja i rodzina moja składająca się z matki, brata i siostry zostaliśmy wywiezieni 13 kwietnia 1940 r. do semipałatyńskiej *obłasti* ajagozskiego rejonu, sowchoz „Min-Bułak”, ferma 1. Było nas tam 37 rodzin (rodziny policyjne i wojskowe). Ferma, którą zamieszkivaliśmy, składała się z pięciu lepianek, nie bardzo dużych. W każdym pokoiku mieszkali trzy, cztery rodziny. Było strasznie ciasno, a warunki higieniczne – nie było o tym mowy.

Podczas pobytu na fermie zatrudniona byłam przy różnych robotach. Latem pracowałam na sianokosach. Praca rozpoczynała się od godziny 7.00 i trwała do 21.00, w tym godzina obiadu. Na obiad dostawaliśmy zupę i 500 g chleba (nieraz 800), to było całe wyżywienie w lecie. W zimie natomiast było o wiele gorzej. Pracowałam w stajni. Ciepłej odzieży i bucików nie miałam. Nieraz prawie bosą nogą szłam do stajni pracować, aby raz na tydzień dostać 500 g chleba. Nieraz nawet dwa tygodnie nie było chleba, ponieważ tam były wielkie śniegi, a chleb trzeba było przywozić z centrali sowchozu, oddalonej o 60 km. Jak nie poszłam do pracy, chleba nie dostałam, więc nie patrzyłam na to, czy zimno, czy deszcz, tylko szłam pracować.

Od czasu do czasu przyjeżdżał naczelnik NKWD. Wzywał wszystkich po kolei do siebie. Pytania, które mi zadawał, dotyczyły mojej ewidencji. Co z innymi mówił, nie wiem.

Podczas naszego pobytu na fermie z wycieńczenia umarło kilka osób. Nazwiska pamiętam tylko dwa: p. Głazowski i p. Kaliszczak ze Lwowa.

Z Polski dostawaliśmy listy i paczki. Gdyby nie paczki, nie wiem, czy byśmy przetrwali.

Po ogłoszeniu amnestii wyjechaliśmy – to znaczy ja, mamusia, siostra i brat – na południe do saragaczewskiego [?] rejonu, kołchozu im. Stalina. W kołchozie tym pracowaliśmy przy zbiorze bawełny (norma była 60 kg). Zależnie od ilości zebranej bawełny dawali produkty, na przykład: mąka, jęczmień (całe ziarno), a czasami kartofle, nie większe jak paznokcie.

Ponieważ warunki były bardzo ciężkie, a organizm bardzo wyczerpany, postanowiłam wstąpić w szeregi armii polskiej. 7 lutego [1942 r.?] pojechałam do stacji zbornej 8 Dywizji w Czokpaku. Tam za pomocą znajomych z Polski z wielkim trudem przyjęli mnie do szpitala zakaźnego jako sanitariuszkę. Praca była bardzo ciężka z tego względu, że nie było odpowiednich warunków, a chorych bardzo dużo, ponieważ panował tyfus. Po jakimś czasie dostałam zezwolenie na przyjazd mamusi. Napisałam list do domu, lecz było już za późno. Mamusia, która została razem z siostrą, zmarła 21 marca 1942 r. na zapalenie płuc i tyfus plamisty. Tak więc straciłam najdroższe sercu memu istoty – ojca i matkę (oboje zmarli z wyczerpania).

Po zlikwidowaniu szpitala w 8 Dywizji Piechoty pojechałyśmy do Centrum Wyszukolenia Armii we Wriewskij. Stamtąd 13 sierpnia [1942 r.] wyjechaliśmy do Persji. Tam pracowałam nadal jako sanitariuszka w szpitalu. Następnie pojechałyśmy do Chanakinu, a później do Palestyny. Tam uczęszczałam na kurs telefonistek. Następnie przyjechałyśmy do Quizil Ribat, a teraz już mam przydział jako telefonistka w Dowództwie Etapów Armii Polskiej na Wschodzie.